

Krew, pot i łzy chętnie obiecuję...

12 sierpnia 2016

...czyli Polska w czołówce rankingu najbiedniejszych.

Jak powszechnie wiadomo, Polska to bardzo ciekawy kraj. Stwierdzenie takie podobne jest w oryginalności do zdania „Anglia jest wyspą”. Falę optymizmu która mogłaby wiązać się z Euro 2012, zakłócają zdarzenia takie jak niepokoje licznych grup zawodowych, bankructwo spółki Dolnośląskie Surowce Skalne (która mimo lukratywnych kontraktów, nie uregulowała po drodze swych zobowiązań) czy np. hiszpańska reklama Coca-Coli, przedstawiająca polskiego robotnika, zbierającego kapsle po napojach, by wygrać na loterii bilet do Polski – gdyż nie stać go na jego kupno. Wiele danych statystycznych pokazuje, iż „ciekawość” życia w Polsce bierze się głównie stąd, że jest ona – zwyczajnie i po prostu – krajem biednym.

Niestety, niezadowalające efekty polityki społeczno-ekonomicznej realizowanej przez rządy III RP, nie przebijają się prawie do dyskursu publicznego. Główne media pozostają wobec tej problematyki obojętne lub wrogie, czego najlepszym przykładem jest niemal zupełny brak zainteresowania świetną książką Tadeusza Kowalika pt. „www.PolskaTransformacja.pl”. Profesor Kowalik od wielu lat wskazuje, że cechami charakterystycznymi polskiego modelu gospodarczego są: ogromne, trwale utrzymujące się bezrobocie, niskie płace dławiące popyt wewnętrzny, rosnące nierówności dochodowe i korupcyjno-klientelistyczne powiązania między podmiotami ułokowanymi w kluczowych rejonach gospodarki.

STO LAT ZA PIGS

Opinie Kowalika znajdują smutne potwierdzenie w wielu danych statystycznych. Nasz kraj osiąga bezapelacyjnie najgorsze ratingi w wielu międzynarodowych badaniach porównawczych

dotyczących zarówno jakości życia, poziomu dochodów jak i stopy bezrobocia czy bezpieczeństwa socjalnego. Doskonale ujęli tę kwestię autorzy opracowania „Europejski model społeczny. Doświadczenia i przyszłość” (pod redakcją Dariusza Rosatiego) stwierdzając, że Polska z wysoką stopą ubóstwa połączoną z niskim poziomem zatrudnienia, jawi się jako gospodarka zarówno nieefektywna, jak i niesprawiedliwa. Przyjrzyjmy się zatem twardym faktom, czyli Produktowi Krajowemu Brutto na mieszkańca z uwzględnieniem parytetu siły nabywczej. Dla Polski wartość ta wynosi 15 300,00 euro (według danych Eurostatu z 2010 roku) a gorzej niż my radzą sobie jedynie mieszkańcy Bułgarii, Rumunii, Litwy i Łotwy. Wyprzedza nas natomiast Estonia (15 700 euro/mieszkańca), Węgry (15 800 euro), doganiają nas Chorwaci z PKB o wartości 14 800,00 euro na mieszkańca, a już znacząco dystansuje Słowacja (18 000 euro), Czechy (19 400 euro), nie wspominając o Grecji (21 900 euro). Całościowo polski PKB na mieszkańca stanowi 63 % średniej unijnej, a wynik ten daje pozycję piątego najbiedniejszego kraju wśród 27 państw członkowskich. Jeszcze gorzej wypadamy w zestawieniu regionalnym, gdzie wśród 64 najslabszych ekonomicznie regionów UE aż 15 znajduje się w Polsce, co daje nam pierwsze miejsce w tej klasyfikacji. Bardziej dokładne badania, mierzące bogactwo mikroregionów, pokazują, że aż 11 polskich województw nie osiąga nawet 56% średniej unijnego PKB, a więc mieszkańcom tych terenów wiedzie się statystycznie gorzej niż Litwinom i Łotyszom, co równa się niechlubnemu awansowi do pierwszej trójki najuboższych.

Stopa wzrostu PKB często przedstawiana przez ekspertów finansowych i ekonomistów jako miara sukcesu III RP jest więc w dużej mierze złudna. Nikt z grona eksperckiego nie mówi również o tym, że państwa z grupy PIGS (Portugalia, Irlandia, Grecja i Hiszpania) łatwo krytykowane za brak dyscypliny fiskalnej i przerośnięty system świadczeń socjalnych zapewniają jakość życia niewyobrażalną dla mieszkańców Polski. To samo okaże się prawdą, gdy przyjrzymy się poziomowi bezpieczeństwa socjalnego w odniesieniu do niewiele bogatszych

od nas Węgier. W roku 2009 węgierskie wydatki na pomoc społeczną wyniosły 2134 euro na mieszkańca, litewskie 1693, polskie zaledwie 1600 euro na osobę. Czy takie dane nie zdumiewają? A to nie wszystko. Wydatki na ochronę zdrowia: 599 euro rocznie – na jednego Polaka, 690 euro – na Węgra. Obrazowo wygląda to mniej więcej tak:

Wydatki na ochronę socjalną na 1 mieszkańca (jednostka parytetu siły nabywczej na mieszkańca).

Źródło: [Eurostat](#)

Jak widzimy, kolejny raz nasz kraj prezentuje się „blado”, znowu dołączając do archipelagu najgorszych. „Spieprzyliśmy sprawę” powiedział w 2006 roku ówczesny premier Węgier Ferenc Gyurcsany. Być może nie byłby tak krytyczny, gdyby wiedział, że jego kraj nie tylko wytwarza większe bogactwo niż Polska, ale również jest społeczeństwem zdecydowanie bardziej egalitarnym. By wymienić tylko kilka wskaźników, Węgry posiadają o 6% mniej ludności zagrożonej ubóstwem oraz dwukrotnie mniej „pracujących biednych” tzn. ludzi, którzy pracując w pełnym wymiarze godzin nadal mają trudności z zaspokojeniem podstawowych potrzeb materialnych (w 2010 roku stanowili w Polsce 11,5 % społeczeństwa, na Węgrzech 5,3%).

PRODUKCJA ZADOWOLENIA

Jak słusznie wskazuje Jacek Żakowski mottem architektów polskiej transformacji jest gromkie „There is no alternative” („Nie ma żadnej alternatywy”) wypowiedziane przez Margaret Thatcher. Zawołanie to miało oznaczać konieczność deregulacji gospodarki, prywatyzacji i cięć świadczeń socjalnych – co słyszymy jak mantrę od lat 90 aż do dziś. Jakaż to jednak bezalternatywność, skoro nie poskutkowała ona ani oddłużeniem państwa, ani wzrostem zatrudnienia, ani wysokim poziomem bogactwa ludności? Polscy neoliberalni ortodoksi odpowiedzieliby pewnie, że ich zbawienne recepty zostały wyhamowane przez grono obrońców społecznej gospodarki

rynkowej. Jednak jak pokazują przywołane statystyki również zwolennicy rozwiązań „prosocjalnych” nie odnieśli sukcesu. Polski model społeczno-ekonomiczny może więc stanowić przykład jakiegoś niebywałego impasu politycznego, w którym żaden ze scenariuszy rozwojowych nie został zrealizowany, lub co bardziej prawdopodobne; ukazuje zajęcie przez nasz kraj pół-peryferyjnej pozycji (zgodnie z terminologią światowej sławy socjologa Immanuela Wallersteina) w globalnym systemie gospodarczym.

Tymczasem media, na przykład „Gazeta Wyborcza” skandują – „Oburzeni do odzysku”. Wcześniej do odzysku nadawało się „stracone pokolenie”, któremu dr Grażyna Spytek-Bandurska, ekspert Polskiej Konfederacji Pracodawców Prywatnych „Lewiatan” poradziła „(...) Można też powiedzieć potencjalnemu zatrudniającemu, że godzimy się np. na pracę na umowę-zlecenie czy o dzieło. To pokazuje, że wcale nie czekamy na etat i nie mamy bardzo wysokich wymagań, ale godzimy się na wszystko (podkreślenie autora), byle dostać pracę.” To samo poradzono „generacji nic” opisanej dekadę wcześniej, która również miała problemy z satysfakcjonującym zatrudnieniem. Jak widzimy, czasy się zmieniają, a rady ekspertów nie. Gdy świat zastanawia się nad globalnym kapitalizmem, który coraz bardziej przypomina kasyno, my debatujemy nad OFE i przedłużaniem wieku emerytalnego. Gdy Jeremy Rifkin obwieszcza „koniec pracy”, my radzimy kolejnemu „straconemu pokoleniu”, aby schowało aspiracje do kieszeni. A więc mamy pracować więcej, nie dostając nic w zamian, podtrzymując stabilność dysfunkcjonalnego systemu? Naprawdę jest się czym oburzać, szczególnie w Polsce.

Autor: Andrzej Zalewski

Źródło: [Lewica](#)